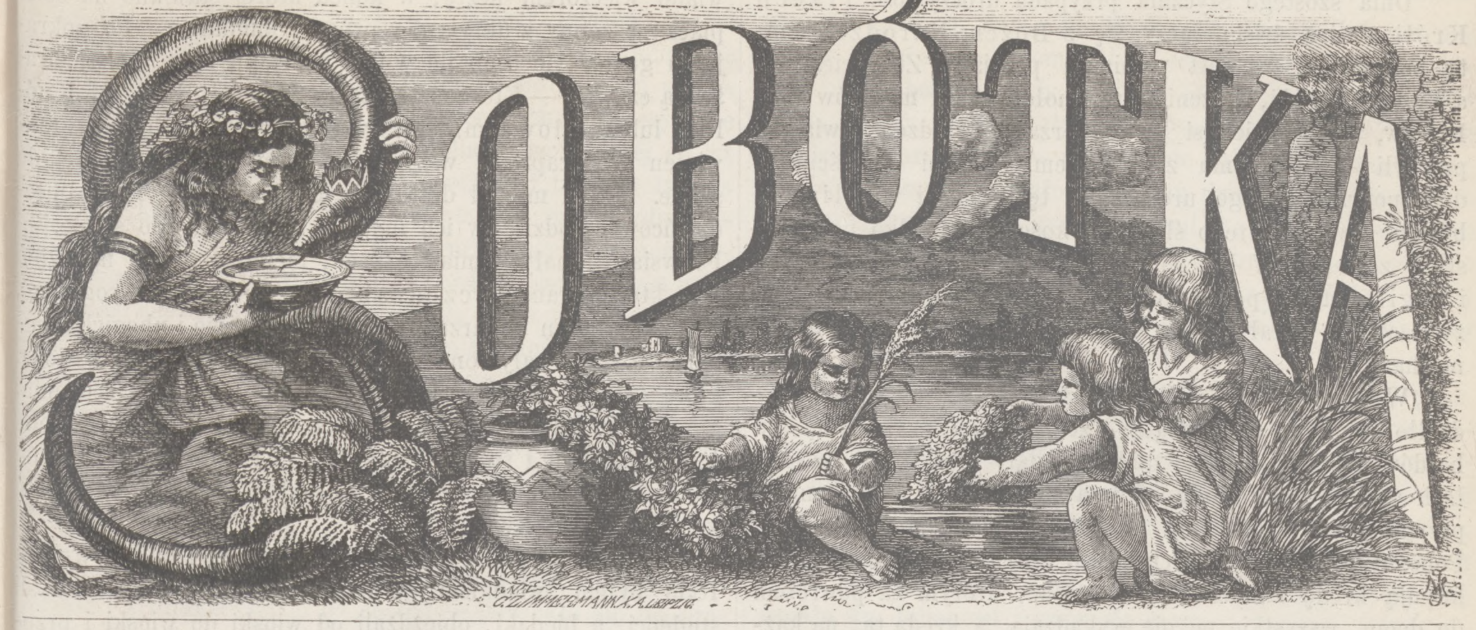
Nr. 3. Poznań, dnia 14. Stycznia 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

Nowy Rok, Trzy Króle, Zapusty,

przez

K. Wł. Wojcickiego.

Pierwszy dzień Stycznia każdego roku, zaczyna Nowe lato, jak ojcowie nasi mawiali, czyli Nowy rok. Kościół katolicki obchodzi w dniu tym oktawę Bożego Narodzenia, Tajemnicę obrzezania Zbawiciela i nadania Mu imienia Jezus. Poganie zaczynając w tym dniu także rok nowy, na cześć bożka Janusa i bogini Streny, wyprawiali igrzyska i biesiady rozpustne, przebierając się mężczyzni za niewiasty a kobiety za mężczyzn. W pierwszych wiekach, gdy chrześcijanie więcéj zespoleni z nimi, do tych zabaw nieprzyzwoitych i gorszących łączyli się, wywołali słuszne oburzenie Ojców świętych, jak Ambrożego, Jana Chryzostoma i Augustyna, i surowe gromy na tego rodzaju wszeteczeństwa. Dla tego Kościół św. w dniu tym nakazał wiernym post ścisły, i publiczne modły z Supplikacyami, które wtedy ustały, kiedy z upadkiem bałwochwalstwa tak rozpustne zabawy wykorzeniono, jakkolwiek nie zeszczętem, bo ślady ich pozostały lubo w skromniejszych szatach, w czasie Mięsopustu.

Dawną nazwę kolędy przywiązano do tego dnia przez zaprowadzenie zwyczaju obowiązkowego rozdawania podarków i darów pieniężnych, za składane życzenia.

W ubiegłéj przeszłości narodu naszego, Królowie polscy, jak panowie i szlachta przygotowywali na ten dzień dary dla dworzan swoich. Składały się one z całkowitego ubrania, szabel drogocennych, rzędów bogatych i pięknych koni z czystéj krwi arabskiéj lub tureckiéj. Wyglądali téż wszyscy tego dnia z utęsknieniem.

Na dworze króla Zygmunta Augusta, był błazen Stańczyk, słynny z dowcipu i humoru, a ulubiony trefniś Zygmunta starego. Sędziwy już Stańczyk, opłakawszy zgon ojca serdecznemi łzami, pozostał na dworze młodego syna, który rozgniewany o żarcik jakiś zastósowany do niego w dzień Nowego roku, niekazał mu dać nowego ubioru, jaki zwykle w ten dzień otrzymywał. Kiedy panowie i dworzanie składali powinszowania Zygmuntowi Augustowi — nasz błazen chodzi osmutniały, z zasępionym obliczem i spuszczoną głową. Postać tak żałosna Stańczyka w dniu radosnym zwróciła uwagę króla: pyta go więc dla czego tak osowiały?

„U mnie rok nie nowy, bo suknia nie nowa!“ odrzekł trefniś.

Roześmiał się Zygmunt August i obdarował go kosztowniejszym ubiorem niż zwykle.

Dziś powinszowania Nowego roku, kończą się albo osobistemi życzeniami pomyślności, lub téż posyłaniem listów i biletów z powinszowaniem. Zwyczaj ten zamienił się od lat kilku w użyteczniejszy, a drogę ku temu pierwsza dała Warszawa. Zamiast biletów podobnych, każdy w Redakcyach pism, składa pewną ofiarę pieniężną na rzecz ubogich, i tym sposobem lepiéj winszuje wszystkim swoim przyjaciołom i znajomym.

W dawnéj Polsce, od pierwszego Stycznia dopiero właściwie zaczynały się zapusty: a po Trzech królach wypadały z dworów szlacheckich słynne kuligi w okolice bliższe i dalsze.

Dnia szóstego Stycznia przypada uroczystość Trzech Króli, która ściśle łączy się z Bożem Narodzeniem: to bowiem święto jest pamiątką przyjścia Zbawiciela — a Trzech Króli, złożeniem mu hołdu przez mędrców czyli Królów, którzy pierwsi po pasterzach, wiedzeni gwiazdą, przybyli do Betleemu z pokłonem. Dawni chrześcijanie dnia poprzedzającego uroczystość tę pościli i wigilią odbywali; zwyczaju tego ślady, w kościelnym tylko nabożeństwie zostały. W kościele jednakże greckim, dawny post i wigilia dotąd pozostały: w kościele zaś łacińskim wtedy zwyczaj ten ustał, kiedy w dzień Nowego roku pościć zaniechano.

W uroczystość Trzech Króli poświęca się złoto, kadzidło i mirra, na pamiątkę, że Królowie przy składaniu hołdów swych Jezusowi, takie mu dary złożyli. W kościołach po tym poświęceniu odbywa się procesya, z kadzeniem, przypominać mająca ich podróż za przewodnią gwiazdą. Pobożni z przygotowanych przed kościołami straganów zakupują kredę i kadzidło poświęcone, którym za powrotem do domu, wszystkie pokoje wykadzają, a kredą tą, na każdych drzwiach wypisują trzy litery G. † M. † B. †. Są to litery początkowe imion tych trzech Króli, którzy podług podania nazywali się: Gaspar, Melchior i Baltazar.

Od wigilii Bożego Narodzenia u szanujących dawne zwyczaje narodowe — pod pułapem, pod nad stołem jadalnym wisi gwiazda, z opłatków kolędowych ulepiona. — W dzień Trzech Króli, gwiazdka ta, najpierwéj bywa suto okadzona kadzidłem poświęconém.

Kościół Grecki za główny przedmiot téj uroczystości, ma chrzest Jezusa, i dla tego w tym dniu, do rzeki lub strumienia, albo pobliskiego jeziora czy stawu, dla poświęcenia wody, odbywa procesyą Jordanem zwaną.

Starzy myśliwi, mieli ten przesąd, że ażeby celnie i niezawodnie strzelba biła, potrzeba zaraz po Jordanowéj procesyi, nabitą zanurzyć w tę wodę, gdzie była poświęconą, i wystrzelić: jeżeli nabój nierozerwał, odtąd będzie najwyborniejszą flintą! Takie strzelby nazywano Jordankami, i drogo przepłacano.

W dniu tym tak po miastach jak i dworach wyprawiano wieczorem ucztę, w końcu któréj stawiano na stole placek pszenny z ukrytym wewnątrz migdałem. Po pokrajaniu go na tyle osób ile w tym zebraniu było, każdy brał swoją cząstkę. — Kto zaś znalazł w nim migdał, ten Królem lub Królową migdałową, ogłoszonym bywał, i taki winien był zaprosić wszystkich obecnych na zabawę do siebie. Jeżeli migdał dostał się młodéj dziewicy, albo młodzieńcowi, rodzice w ich imieniu zapraszali do siebie. — Po wsiach i małych miasteczkach, pieczono placki na dzień ten, który zwano szczodrak, albo ze kształtu rogatego, rogalem; tym obdarzano się w sąsiedztwie i ubogich dzielono. Zastępowały one strucle z Niemiec przeniesione, które dziś są niezbędnemi przy wigilii Bożego Narodzenia.

Do końca XVIII wieku, powszechnym było zwyczajem, że wprzeddniu i święto Trzech Króli, chodziły żaki po domach z latarnią, w kształcie ruchoméj gwiazdy, i pieśń kolędową śpiewały.

W Galicyi nad Prutem, w pobliżu Kołomyi, w roku 1833 byłem świadkiem po dworach szlachty, jak dorośli studenci, a biedaki, objeżdżali od wioski do wioski i przebrani za trzech Króli z orszakiem swoim odegrywali dyalogi wierszem i prozą, za co hojnie obdarzeni, zbierali zasoby na dalszą naukę.

Na Rusi też Galicyjskiéj od Stryja i Łomnicy — po Dniestr, Prut i Czeremosz, drobna dziatwa chodzi od domu do domu śpiewając:

„Czy piekliście szczodraczki,
Bochnaczki!
Dajcież i nam!
Nagrodzi wam Pan Jezus i święty Jan!“

Obdarzeni, na podziękowanie chórem zawodzą:

„Niech wam rodzi pszenica
Jak rękawica,
A jęczmień tak wielki jak koń!“

Jeżeli zaś nic niedostaną, odchodząc z gniewem śpiewają:

„A kiedyś nie męsiła,
Bodajeś się powiesiła!“

(Dokończ. nast.)

PAŁAC I FOLWARK.

Obrazy naszych czasów

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Siostrzeniec księdza Kanonika pan Julian, któregośmy poznali już, wychował się od młodych lat na probostwie, bo gdy matka jego owdowiała i niemiała się gdzie podziać, brat pospieszył z nią się dachem i chlebem podzielić. A że od probostwa do folwarku nie było i ćwierci mili, dzieci widywały się prawie codzień, bawiły z sobą i przywykły do siebie... a późniéj?? — może pokochały... Ze strony Juliana miłość ta w prędce powstrzymana powagą doroślejszego młodzieńca, potém dumą ubogiego chłopca, skryła się gdzieś w głąb serca i może w nim zasnęła... Zosia, o czém ojciec najlepiéj wiedział, pozostała wierną pierwszemu uczuciu i choć go nie objawiała zbyt wyraźnie, nabrało ono z czasem siły, z którą już teraz trudno walczyć było. Choć córka pana dzierżawcy mogła mieć, jak nawet sam pan

Margocki ją cenił, najmniéj sto tysięcy talarów, licząc w to piękne gospodarskie remanenta — a pan Julian nie miał złamanego szeląga, ojciec zawczasu postrzegłszy skłonność w córki sercu, byłby z największą ochotą na wydanie jéj zezwolił, — ale... ale — pan Julian, szczególniéj od lat dwóch, zupełnie się jakoś usunął, ostygł i trzymał tak na uboczy, jakby chciał zerwać ze staremi przyjaciółmi. — Zosia zmuszona kryć się ze swém przywiązaniem, nie myślała wcale narzucać się towarzyszowi młodości, ale z dziecinną naiwnością i wiarą powiedziała sobie po cichu: będę czekała, nie pójdę za mąż, musi moją miłość uczuć i ożenić się ze mną. Tak jakoś była tego pewną, że chłód grzeczny okazywany jéj przez Juliana, wcale ją smutkiem nie nabawiał... może? któż tam zrozumie serce kobiece?

Ona to pierwsza dowiedziała się jakoś bardzo zręcznie o spodziewanym Juliana przyjeździe, o przybyciu jego... i dała zręczniéj jeszcze do zrozumienia ojcu, że powinien był Kanonika z siostrzeńcem na obiad zaprosić. — Posłuszne ojczysko zrozumiawszy o co chodzi — powlekło się na probostwo i rozkaz spełniło.

Nazajutrz, dzień był przedwcześnie jesienny i deszcz mżył szary i chłodny, ale w naznaczonéj godzinie Kanonik pod ogromnym starym szafirowym parasolem, podkasawszy sutannę ciągnął na folwark, a za nim w ślad pod drugiem podobném przykryciem, syn prowadził matkę... Zdala już Zosia stojąca w oknie zobaczyła gości, chciała wybiedz na ganek... Szczęściem stała na straży ciocia Klara i postrzegłszy ruch, zawołała żywo.

„Zosiu! na miłość Boga! już ja wiem co chcesz zrobić— proszęż cię, siądź do krosienek... nie wyglądaj nawet oknem... ale proszę cię i zaklinam! Co ten młodzieniec sobie pomyśli? Mężczyzni są pełnemi pychy i samolubstwa, dobrąż jest rzeczą, te zgubne w nich skłonności lekkomyślném postępowaniem rozniecać?“

Ciocia mówiła tak zawsze stylem książkowym i z retoryką wielką, a zwłaszcza gdy nieco była poruszoną. Zosia uśmiechnęła się, zarumieniła i do krosienek usiadła, uczuła słuszność postrzeżenia, jednakże napróżno szukała igły i włóczki i kłębuszka, jakoś się jéj w oczkach mąciło.

„Kochana, droga Zosiu... ciszéj dodała ciotka — zaklinam... bądź chłodną! dziecko moje! pojmuję szlachetną twą przyjaźń łączącą cię z towarzyszem lat wiosennych, lecz to jest — mężczyzna! Poskrom uczucie i nieokazuj mu go, abyś się zbyt niewydała...“

Tu cioci wyrazu zabrakło, a w sieniach dało się słyszeć szastanie nogami i oczyszczanie się z błota, a potém głos rozczulony pana Ostójskiego, który naprzeciw wyszedłszy wołał.

„Ale proszęż, proszę... deszcz mi dziś figla podwójnego wypłatał, bo i państwo zmokliście i kopy mi w polu mokną“.

Zosia spuściła była posłuszną główkę nad krosienka, ale wytrzymać długo nie mogła, zdrowe rady cioci zapomniane zostały, zerwała się, furknęła i z bijącém sercem stanęła naprzeciw drzwi czerwona jak wisienka. Nim ciotka pospieszyła stanąć w opozycyi, otworzyły się owe drzwi, weszła matka Juliana, Kanonik a nakoniec — on...

Zosia jego tylko widziała, wyciągnęła rękę zapomniawszy że ostatnią razą, na Wielkanoc bardzo był dla niéj zimny — uśmiech opromienił jéj usta... Pan Julian wchodził blady, bardzo blady, a zimny jakiś i krochmalny jakby obcy... oczy ich spotkały się, Zosia teraz pobladła, a on się lekko zarumienił — przywitanie było tak ceremonialne, iż cały humor odebrało biednemu dziecku. Z uśmiechem osmutniałym siadła przed swojemi krosienkami szukając wzroku Julka napróżno. Młody doktor patrzał wszędzie gdzie nie było potrzeba, na nią nie śmiał. Ostójski, który szpiegował niespokojny, także pochmurniał — i powiedział sobie w duchu: to głupi chłopiec!

Z tego pierwszego wrażenia Zosia ochłonęła jakoś prędko, rumieniec zwolna na twarzyczkę wrócił, oczy zamglone rozjaśniły się, usta się uśmiechać poczęły, postanowiła niezważać na upor tego niewdzięcznika, który ani spojrzał na nią. Oczyma panna Klara starała się jéj wmówić pohamowanie, lecz napróżno; oczów można było nierozumieć i można ich było nie słuchać... Zosia z krzesełkiem przysunęła się śmiało ku Julianowi i szepnęła żywo.

„No, jakże się pan ma? zaledwie raczyłeś się ze starą przyjaciółką przywitać?...“

„To go tak te książki zamęczyły“, odpowiedziała dosłyszawszy pytanie matka... „przyjechał pracą przybity zupełnie, osowiały... chcieliśmy mu poodbierać te książczyska, ale nie daje“...

„Wiesz pan żeś nawet zmizerniał“, odezwała się żywo Zosia „myślałam że może byłeś pan chory...“

„O! nie pani! tylkom zestarzał“, rzekł Julian... „a w istocie pracy mamy dosyć.“

„Tego to ja panu zazdroszczę“, dodała Zosia, „boć to miło być musi mieć pracę i cel tak wielki, naukę dla pożytku bliźnich... zresztą samą wiedzę... która nęci i przyciąga.“

„Wszakże każdy się może uczyć i pracować?“ rzekł Julian.

„Do czego? proszę pana“, przerwała Zosia „po co? na co się komu zda moja nauka, a nawet i mnie? Moje powołanie wiejskiéj gosposi, ciasnym się ogranicza horyzontem“...

„Dla czegoż wiejskiéj tylko gosposi?“ powoli począł Julian, „wszak panią zapewne i inne czeka życie, powołanie... i świat zapewne szerszy.“

„Tego ja nie chcę!“ odezwało się dziewczę: „dziękuję bardzo!“ nigdy bym daleko nie chciała od mego gniazdka odlecieć... “

„To dobrze, że mu to mówisz, moja Zosiu, może go to nawróci“, wmięszała się matka, „bo on już nam prawi, że się gdzieś wyrwie do Rosyi lub do Ameryki“...

Zosia w pierwszéj chwili posłyszawszy to, pobladła trochę, spojrzała na towarzysza i powiedziała stanowczo:

„Niech sobie mówi, my go nie puścimy! nieprawdaż pani?“

„Żeby to można tych uparciuchów nie puszczać?“ westchnęła matka, „ale to nas słucha tylko dopóki nie włoży bócików, a potém... temi bócikami nas zastuka... i już nic nie pomaga...

Julian milczał, bawiąc się rękawiczką, potém popatrzał na matkę i odezwał się do niéj cicho:

„Musimy być posłuszni naszym przeznaczeniom“...

„A mnie zdawałoby się“, żywo podchwyciła Zosia, „że właściwie przeznaczeniem człowieka jest, nabywszy nauki, wypłacić się nią ziemi co go wychowała... własnemu krajowi“...

„Jest to bardzo piękne jako teorya“ rzekł Julian, „cóż kiedy kraj ma nas za wielu i naszych służb nie potrzebuje“...

„Któż to panu mówił?“ odezwało się dziewczę.

„Patrzę i widzę“, szepnął Julian ciągle trzymając się z powagą wielką jakby na wodzy „ale po cóż to mówić o jakichś tam czczych może projektach?“

Niewiadomo z jakiego powodu, może widząc iż panna Klara milczy trochę osamotniona, matka Juliana wstała i poszła ku niéj na drugi koniec pokoju. Ostójski z Kanonikiem rozmawiali po cichu u okna nieco opodal, tak, że Julian został sam z Zosią przy jéj krosienkach. Patrzała na niego prawie z politowaniem jakiemś.

„Mój panie Julianie“, rzekła w krótce, „nie udawaj że starego Eskulapa, połóż ten nieszczęsny kapelusz i rękawiczki, siądź i rozmówmy się po staremu... bo się będę gniewać. Nie dałam przecie żadnego powodu do takiego nakrochmalenia względem mnie. Pamiętasz pan jak to niegdyś pogniewaliśmy się o kasztany... cośmy całe dwa dni bokiem chodzili do siebie, czyżby znowu jaki niewidzialny kasztan wpadł między nas?“

Julian mimowolnie oczy podniósł i uśmiechnął się — Zosia roześmiała się także.

„Doprawdy, zdziczałeś mi pan w tym Berlinie?“

„Mówiłem pani, zestarzałem...“

„No, to prędko odmłodniéj! my tu nawet starym nie pozwalamy się ukwaszać... To wolno tylko ogórkom, pardon de l'expression. — Jaka szkoda“ szczebiotała ciągle, „ten nieznośny deszcz nie pozwala mi pokazać panu, jak wierna naszym wspomnieniom dziecięcym, uprawiam starannie nasz ogródek i tę grzędkę na któréj razem sialiśmy owe nasionka polnych kwiatków, które nigdy nie wschodziły... Miałożby to tak być później w życiu i z uczuciami, że posiane w młodości, wyrastają z chwastem?“ Ostatnie słowa wypowiedziała ciszéj i prędko. Julian drgnął, popatrzał na nią, spuścił oczy i począł bojaźliwie.

„Niech pani wierzy, iż przyjaźń i szacunek dla niéj nigdy w tak niewdzięczny sposób się nie zmienią.“

„Szacunek może być poważny i zimny“, przerwała Zosia, „bo to staruszeczek, ale od przyjaźni, już dla tego że jest rodzaju żeńskiego, wymagałabym trochę więcéj ognia... swobody...“

Przerwała nagle i poczęła cicho.

„Panie Julianie, bądź pan po dawnemu, zapomnij o Ameryce, rozgość się u nas. Pojedziesz sobie kiedy zechcesz, a tymczasem...“

I znowu daremnie oczekując odpowiedzi, zaśmiała się, zaczynając z innego tonu.

„A! to się już domyślam... zwierz mi się pan! Zakochałeś się w Berlinie... dla tego jesteś tak smutny!“

„Zgadłaś pani, śmiejąc się także, zawołał Julian.

„W kim?“

„W prześlicznéj trupiéj główce, która mi do studjów służyła...“

Zosia pobladła.

„Jakto? pan? i na panu to nie czyni wrażenia? trupia główka? może doprawdy kobieca? i niewiesz pan czyja?“

„Że kobieca, to pewno“, odpowiedział Julian, „i musiała być młodziuchną, bo wszystkie w niéj ząbki jak rząd perełek siedzą...“

Zosia się wstrzęsła...

„No, to w istocie rozumiem teraz, że po takich przysmakach, życie i ciepły oddech jego obrzydnąć, zobojętnieć mogą. W istocie miłość nauki, którą pan nazwałeś trupią główką, zabija inne uczucia... ona jest także zazdrosną... Tylko, mój panie Julianie, jestli na świecie taka trupia główka coby żywéj muszki była warta!“

Otworzyły się drzwi do jadalnego pokoju i panna Klara ozwała się patetycznie.

„Niechże państwo raczą... pokarmy już są na stole... pokarmy już są na stole... Służymy czcigodnym gościom naszéj strzechy...“

Wszyscy byli tak nawykli do uroczystych przemówień p. Klary, iż nikt się nie roześmiał. Kanonik podał jéj rękę, Zosia sama wyciągnęła rączkę Julianowi, ojciec poszedł sam.

„Siadaj pan przy mnie!“ rzekła „chce się z nim nagadać — bo potem nierychło pana złapię... a ja, że niemam żadnego takiego przyjaciela o perłowych ząbkach, staremu jestem wierna...“

Na twarzy młodego medyka, która się dziwnie mieniła, znać było jakby pasowanie się z sobą, utrzymał się wszakże z powagą, i odpowiedział tylko.

„Wierz mi pani, że choćbym do Ameryki pojechał, jéj miłych słów niezapomnę...“

„Jakkolwiek by mi przyjemném było, żeby moje słowo zawędrowało do antipodów, wesoło zawołała siadając Zosia — wolałabym żebyś i pan został tu z nami i ono. Ależ to żarty te projekta podróży? nieprawdaż?“

„Doprawdy, ja jeszcze sam niewiem, tysiąc mi snuje się po głowie planów i projektów...“

Rozmowa stała się powszechniejszą, bo Ostójski wprowadził coś de publicis o wyborach blisko następujących...

„Otożem ciekaw jak się one nam udadzą“ rzekł.

„Czemu się udać nie mają“ przerwał kanonik, „poczciwy lud nasz, ma dziwne poczucie swych obowiązków, ani go ustraszy groźba, któréj często używają — ani odwiedzie bieda... od spełnienia ich...“

„O mój Boże“ zawołała Zosia, księże Kanoniku, przy obiedzie o polityce mówić, niema nic niezdrowszego, wszystko się w ocet obróci...“

„Ma panna Zofia słuszność!“ zaśmiał się Kanonik, „mówmy o czém inném — co nowego?“

„Otóż jest nowina i dla nas bardzo ważna“ odezwał się Ostójski, „pani hrabina z Paryża przybywa na parę podobno miesięcy do nas... Mówią, że i młody hrabia zjedzie... Ożywi się nasz dwór... który stoi pustkami...“

„Ale, ale! pustkami“ zaoponował Kanonik, a pan Margocki?“

„No, tak aleśmy się z nim obyli“ rzekł Ostójski, „i za-

wsze to nie to, co hrabina... która lubi zabawy, towarzystwo... Gości będziemy mieli."

„A co nam po nich" mówił Kanonik...

„Przepraszam, mnie to bawi" zawołała Zosia, „z mojego okna prosto widok na gościniec do pałacu... Jak to wszystko paradnie jedzie, z biczów palą, karety i kocze się toczą, trąbki pocztowe grają... A te liberye!"

„W istocie, Zosiunia ma słuszność" dodała panna Klara, „te splendory są rozkoszą dla oka znużonego jednostajnością i monotonią wioski... a nie małą dla nas rozrywką..."

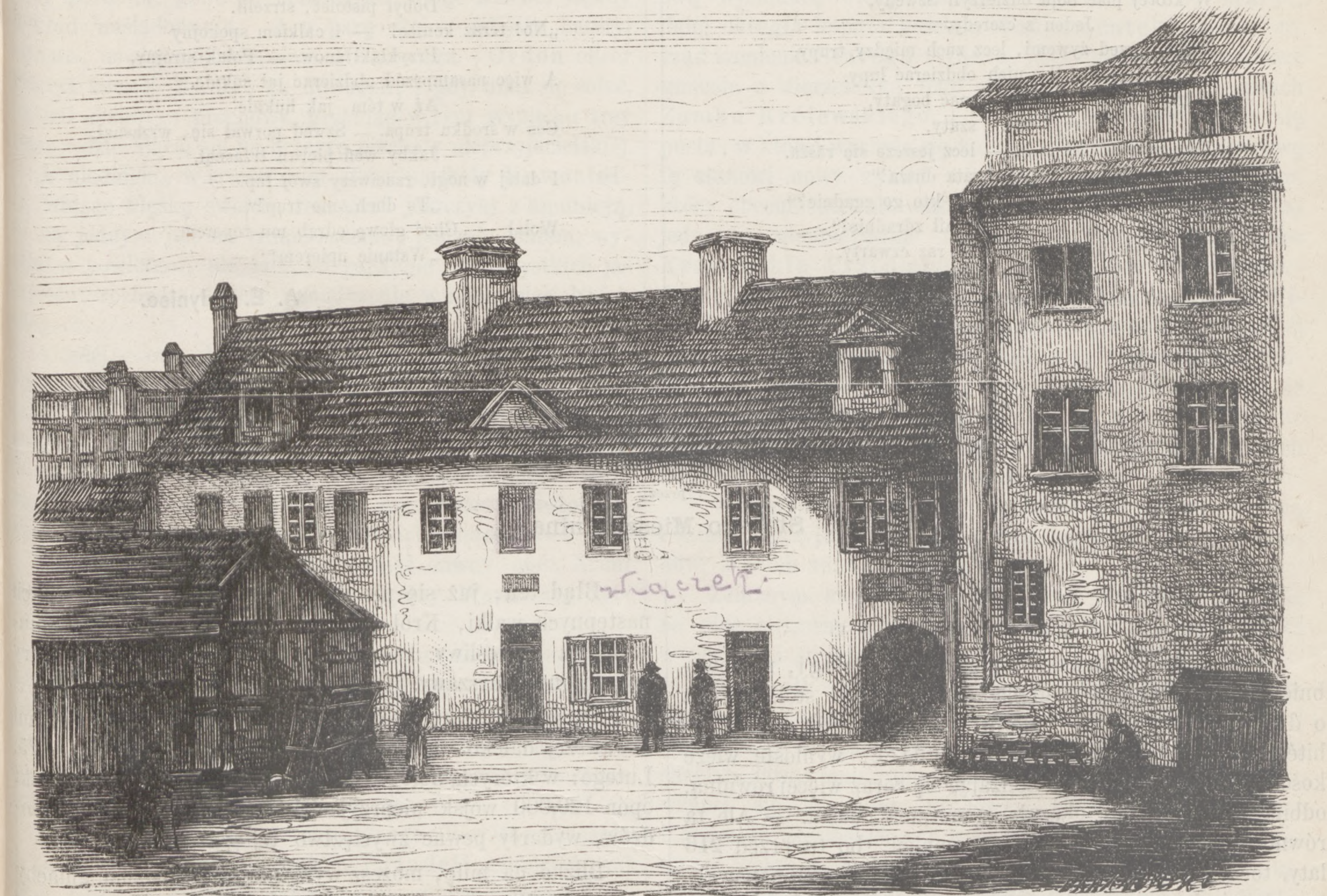
„Jeśli młody hrabia przyjedzie", dorzuciła Zosia, „jeszcze ładniéj, bo występują konno, często cała kawalkata, amajaki przypadek... Takiemu trzpiotowi, wartogłowie jak ty, konno jeździć! Dajże ty mi pokój."

„A tatko mówi, że mnie kocha i dogadza mi", mruknęła Zosia, „wszyscy państwo widzicie jak."

„Moja Zosiuniu", przerwała panna Klara, „czyniłam ci niejednokrotnie tę uwagę, iż jakkolwiek osoby wyższego towarzystwa pozwalają sobie konnéj jazdy, nigdybym młodéj dziewicy nie życzyła ani jéj pożądać, ani się do niéj zapalać... Dla niewiasty..."

„Cóż Ciociu, kądziel i wrzeciono?" wszyscy się śmieli, ciocia trochę się uraziła.

„Wszystko co chcesz, byle nie koń i cygaro",... rzekła żywo.



Ciemna Bramka na Nowym Rynku w Poznaniu.

zonki, dżokeje w kurtkach ponsowych... Raz nawet gdy jechali na lisy, widziałam pana Margockiego we fraku ponsowym... a! jakiż był doskonały!"

Zaczęła się śmiać.

„Proszęż cię Zosiu" zgorszona odezwała się panna Klara, „w tém niema nic śmiesznego, jest to zwyczaj łowców angielskich, iż przywdziewają ten strój powabny dla oka i odróżniający ich od pospolitego gminu"...

Wszyscy zamilkli:...

„Żeby mi papa konia kupił i amazonkę sprawił", zawołała Zosia.

„Otóż masz! jeszcze czego!" ofuknął stary, „tak! zapewne, żeby jeszcze uchowaj Panie Boże, koń poniósł, albo

„Będę więc siedzieć przy krosienkach, a dla uniknienia pokusy" zawołała Zosia, „zamknę oczy i zasunę okno..."

Obiad przeszedł na takiéj pogadance swobodniéj, nawet pan Julian się rozruszał nieco i chwilowo wrócił mu humor młodzieńczy...

Deszcz który cały ranek pruszył, sprawdzając chłopskie meteorologiczne postrzeżenie, ku południowi począł coraz mżyć delikatniéj, resztę mgły rozpędził wiatr, obłoki się porozdzierały, słońce wyjrzało i gdy od stołu się ruszono, pogoda była tém piękniejsza, że powietrze się odświeżyło... Zosia uderzyła w ręce, ciesząc się tą niespodzianką, która jeśli nie do ogródka, to choć na ganek wyjść dozwalała.

(C. d. n.)

O Szwedzie.

Kto chcesz, posłuchaj! nie długiéj powieści,
Lecz snać proroczéj treści.
Fakt historyczny — a stał się za czasów
Pierwszego z Sasów.
Puffendorf Niemiec podał go w opisie.
Sens niech sam słuchacz wyssie.

Za wojen szwedzkich w Koronie i Litwie,
Po jednéj bitwie,
W któréj plac boju odzierżyli Szwedy,
Jeden z czeredy,
Tchórz przed żywemi, lecz zuch między trupy,
Szedł z nich obdzierać łupy.
Patrzy, aż leży Polak — snać bogaty,
Drogi oręż i szaty.
Trzy rany w piersiach. — lecz jeszcze się rusza.
„Ho, ho! rogata dusza!“
Pomyślał sobie Szwed. „Lecz kto go zgadnie?“
„Nuż się przyczaił zdradnie!“
Dobył więc miecza, i przebił raz czwarty.
Miecz z krwi otarty
Schował znów w pochwę — i nuż do roboty.
Na palcu sygnet złoty.

Chce go więc naprzód ściągnąć, i przyklęka.
Alić w tém ręka
Ścisnęła palce w pięść. — Szwed gdy to zoczył,
Zląkł się, odskoczył,
I znów do miecza. Ciął — „teraz już pewnie
Trup, ani ziewnie!“
Otarł miecz znowu — lecz nim w pochwę włożył,
Trup wąs nasrożył.
Szwed struchlał cały; — ale się ośmielił,
Dobył pistolet, strzelił.
„No! teraz koniec!“ — i całkiem spokojny
Przykląkł znów. — Polak strojny,
A więc nasamprzód obdzierać jął suknie.
Aż w tém, jak huknie
Coś w środku trupa. — Szwed porwał się, wrzasnął,
Jakby weń piorun trzasnął,
I daléj w nogi, rzuciwszy swój łup.
„To duch, nie trup!“ —
Woła — „Choć głowę odrąb mu toporem,
„Wstanie upiorem!“ —

A. E. Odyniec.

WARSZAWA DZIŚ I WCZORAJ

przez

Starego Mieszczanina.

I.
Prolog.

Od strony zawiślańskiéj przedmieścia Pragi, najpowabniéj i najwspanialéj wygląda dawna nasza stolica. Już o dwie mile z wysokich wzgórz wsi Miłosnéj na drodze bitéj, wiodącéj z Warszawy do Siedlec, wyniosłe wieże kościołów dojrzeć można. Zbliżając się coraz więcéj równiną, odbija się wyraźniéj okazała panorama miasta. — Ale ta równina pełna historycznych wspomnień, bo tu przed 216 laty, toczyły się walki zacięte i krwią walecznych napawały te role piaskowe.

Na tych polach, po zdobyciu szturmem Warszawy przez Jana Kazimierza, zawrzała trzydniowa bitwa, pomiędzy wojskami tego Króla, a zastępami Szwedów i Brandeburczyków pod wodzą Karola Gustawa.

Pierwszy raz zarówno samo miasto jak i ta okolica, ujrzały dwudziesto tysięczny hufiec lotnych tatarów, który na pomoc Rzeczypospolitéj przybył.

Pierwszy dzień zapowiadał pewne zwycięztwo. — Chorągiew trzystokonna, kwiatu naszego rycerstwa, Hussaryi, uderzyła na Szwedów. Jak taran niepowstrzymany, rozbiła trzy linie nieprzyjacielskie; Karol Gustaw przewrócony z koniem: chorągiew do ariergardy szwedzkiéj przebija się, ale niepoparta, otoczona, ginie.

Błąd ten, już się nie dał poprawić: po dwóch dniach następnych walki, Król Jan Kazimierz, do cofnięcia zmuszony, a szczęśliwy zwycięzca, wszedł napowrót w mury opuszczone Warszawy.

Teżsame pola, czterdzieści lat temu były świadkami krwawszéj daleko walki 1831. roku, w dniach 19., 20. i 25. Lutego: w których 30,000 armia polska, stawiła bohaterski opór 120,000 wojsk nieprzyjacielskich. I teraz błędy wodzów, wydarły pewne zwycięztwo téj garści walecznych.

Blizko na milę, możesz wyraźnie już rozpoznać gmachy i kościoły Warszawy, a dojeżdżając do Pragi, od strony Zamku Królewskiego, ku wieży Kościoła Bernardynów, wychyla się wzniosła kolumna, a na niéj posąg króla Zygmunta III. w koronie i płaszczu, z krzyżem i mieczem w ręku.

Pobożny ten Monarcha, troskliwy o pomnożenie chwały Bożéj, wysłał do Rzymu poselstwo, z prośbą o podarek jakich relikwi męczennika. Ale ówczesny papież, znając widać lepiéj dzieje Polski, niżeli je pojmował Zygmunt III, odrzekł wysłańcom.

„Na cóż wam relikwie męczenników? Każda garść waszéj ziemi, jest relikwią, bo nasiąkła krwią waszego rycerstwa, walczącego za wiarę świętą i męczenników przez tyle wieków, co padli pod mieczem pogaństwa.“

I Ojciec św., powiedział rzeczywistą prawdę: bo nietylko cała polska, ale szczegółowo Warszawa jak i jéj okolice, są właśnie tą relikwijną ziemią.

Z téj strony, masz pola Grochowskie, słynnéj wniéj Olszyny, a daléj Wawru. Z drugiéj strony, pola Raszyna uświęcone walką 1809 i śmiercią walecznego Cypryana Godebskiego żołnierza poety. Bliżéj miasta, przy równinie pól Woli, rozgłośnéj Elekcyami Królów, kościołek dotąd stojący wśród wałów ziemnych, ponasadzany kulami dział nieprzyjacielskich, które przylgnęły w jego murach, przy ostatnim szturmie Warszawy dnia 6. Września 1831. r. I przy tych murach, staje ci posągowa postać generała Sowińskiego, już wówczas bez nogi, jak nieprzyjąwszy pardonu, ginie po bohatersku, dając z siebie piękny przykład naśladowania. A o parę staj — miejsce bateryi Ordona, uświęconéj wierszem Mickiewicza. Ordon oficer artyleryi konnéj Bema, tu dowodził, i gdy miał się cofać, wysadził magazyn prochowy, grzebiąc w tym wybuchu trzy tysiące wdzierającéj się na baterye piechoty nieprzyjacielskiéj.

A niedaleko, w tymże dniu oficer piechoty Nowosielski, widząc klęskę swoich, roztwiera jaszczyki z amunicyą, sam na jednym jak na tronie zasiada, podpala lontem, wylatuje w powietrze, ale ładunki zapalone ze wszystkich jaszczyków, roznoszą śmierć i zniszczenie w nieprzyjacielskich szeregach.

A daléj — owe słynne za Stanisława Augusta Powązki, gdzie Księżna Izabela z Flemingów Czartoryska, założyła uroczą Willę zniszczoną w oblężeniu Warszawy za Kościuszki, i równocześnie pamiętne walką krwawą, w któréj Jan Kiliński rodem z Poznania, a mieszczanin i szewc Warszawski, z pułkiem swoim z ludu tego miasta złożonym, przeważył zwycięztwo na stronę polskich sztandarów!

Teraz tę równinę, w części zajął dawny obóz Armii polskiéj, a w większéj cmentarz ogólny Warszawy, ludniejszy już od żywego miasta!

Z przeciwnego krańca naszego grodu czerwienieją mury, baszty i gmachy, groźnéj i strasznéj, a przypominającéj słowa Ojca św., Cytadeli warszawskiéj. Przed rokiem 1830, istniała tu wielka część miasta, która rozwijając się w normalnym porządku, razem z biegiem Wisły, wznosiła nowe ulice i domy.

Po wstrzymaniu rozwoju naturalnego, Warszawa zaczęła się zabudowywać na przeciwnych Cytadeli granicach, od strony Trzech Krzyży i Banhofu głównego kolei żelaznych: Warszawsko-Wiedeńskiéj i Bydgowskiéj. Wyciągnęła ulice w puste pola, gdy w gruzy poszła i zarazem wielka i piękna część miasta, stojąca pod bateryami Cytadeli.

Runęły obszerne gmachy, piękne wille i ogrody, mnóstwo kamienic i domów, na ich miejscu tylko wydma piaszczysta.

Praga przedmieście, Wisłą przedzielona od Warszawy, któréj nazwę dali wychodzcy czescy, stanowiła w przeszłym wieku niemałe już miasto. W roku 1794 dnia 4. Listopada zdobyta szturmem przez Suworowa, w pień wycięta i pożodze oddana, już się ze swego upadku podnieść nie może. Gdy całe ulice spłonęły wraz z kilkoma kościołami, a na wałach podobną śmiercią bohaterską jak Sowiński pod Wolą, zginął generał Jakób Jasiński żołnierz-poeta, nieprzyjąwszy pardonu, nie odetchnęła po pierwszéj klęsce, gdy w roku 1806, za wejściem armii Napoleona I. zburzona dla widoków strategicznych, ocalały kościół Bernardynów i pozostawiono jego jedną tylko kaplicę. W roku 1831, po Grochowskiéj bitwie, dla tychże celów, sami spaliliśmy granatami znaczną część nieszczęśliwéj Pragi.

Kiedy od jéj strony, rzucisz oczyma na wzgórza za Wislańskie, już widzisz dokładnie malujący się wybitnie cały obraz Warszawy.

Od warownych murów cytadeli, w pobliżu wynosi swą wysmukłą wieżę starożytny kościół Panny Maryi, daléj okrągła kopuła kościoła Sakramentek i ścieśniony rząd kamienic Starego miasta, jakby zawieszone jaskółcze gniazda u wierzchołka tego wzgórza. Zakończa je gmach Zamku Królewskiego, i tu przestrzeń mała zdaje się pusta, w któréj wychyla się kolumna Zygmunta III. Przerwę tę stanowi nowy zjazd wiodący do wspaniałego mostu, który obecnie utrwala stałą łączność stolicy z Pragą. Tutaj jednakże nieprzerwanie ciągnie się najpiękniejsza ulica Krakowskie Przedmieście. Po za kościołem Bernardynów, wychylają się wieże kościołów Karmelitów, Wizytek, Św. Krzyża i Kościoła Luterskiego, a poniżéj gmachy pałacu Kazimierowskiego, zajęte przez Uniwersytet Warszawski i domy prywatne biegnące ku stronie Lazienek Królewskich. Ta strona więcéj ma postać nowożytną, bo z niéj wybiegają wysokie kominy, rozmaitych fabryk i zakładów przemysłowych.

W pośród rzędu murów, zapełniających wzgórze, wiosną i latem, uprzyjemnia widok miasta, zieloność drzew i ogrodów, których tu najwięcéj.

Żelaznym mostem na granitowych słupach, wjeżdzasz na plac obszerny przy Zamku Królewskim i do razu jesteś w pośrodku staréj Wazów stolicy.

Oddaj jéj wędrowniku polski należny pokłon! otaczają jéj mury duchy bohaterów narodowych. Za rogatkami Grochowskiemi, zachowany ślad mogiły Jakóba Jasińskiego, chociaż dawny zniszczony napis. Na cmentarzu Powązek wznosi się kamienny grobowiec Cypryana Godebskiego i generała Sowińskiego, a w ścianie małego kościołka tutéjszego, ukryte zwłoki Kilińskiego szewca i pułkownika. Tysiące zwłok walecznych, użyzniły pola Powązek, Woli, Grochowa i Wawru, bez mogiły, bez napisu. To zastępy wojowników bezimiennych co życie oddali za ukochaną ojczyznę.

A kiedy wejdziesz na ulicę grodu Mazowieckiego, znajdziesz i tu prawie na każdym kroku drogie wspomnienia przeszłości, i tu krew obficie uświęciła ziemię samego miasta, nabitą teraz granitowym brukiem.

Powiodę cię czytelniku przez te ulice rozległéj stolicy, powiem ci jaką była wczoraj i dzisiaj: nietylko co do jéj wewnętrznéj postaci, ale i zarazem i téj staréj społeczności, która grała pełnem życiem, i legła w mogiłach; i nowéj, która obecnie napełnia ją swym gwarem. (D. c. n.)

Historya o dwóch parach zakochanych i o połowie trzeciéj

podsłuchana i spisana przez

Józefa Narzymskiego i Władysława Sabowskiego.

(Ciąg dalszy.)

I lekceważenie to niebyło bez powodu, bo projekta pani Sydońskiéj od lat sześciu czy siedmiu po kilka razy na rok się powtarzały. Zwątpił on już o ich praktyczności zupełnie, tembardziéj że zdrowy zmysł jego nie pozwalał mu na jednéj i to wypadkowéj bytności budować zamków hiszpańskich.

Żona jednak, dzięki kobiecéj imaginacyi, i sercu matki, które nieuwierzy nigdy, żeby było pod słońcem coś nad jéj dzieci lepszego, żona wzdrygnęła ramionami i uklękła do pacierza.

Że modlitwa jéj była szczera, że zdrowaśka zdrowaśkę goniła, by Bóg choć teraz zawodu doznać niepozwolił, że w razie szczęśliwym przyrzekła cały szereg sobót suszyć, wszystko to rozumie się samo przez się. Ludzie, ty mój czytelniku, ja, najniższy twój sługa, może i niejedna z moich czytelniczek, która niemiała przerosłéj córki na wydaniu, śmiać się z tego możemy. A jednak, dalibóg, te zdrowaśki i te soboty suszone są rzeczą prawdziwie poetyczną i wzniosłą, jak wszystko, co płynie z czystego, jasnego źródła, z miłości.

Pani Sydońska przewracała się potém długo. Wątpić można, czy powodem tego było tubalne chrapanie małżonka, bo do tego miała się czas przyzwyczaić. Myślała więc biedaczka... myślała, i wzdychała.

Najprzód zastanawiała się biedna matka, do któréj też córki uderzy jeden z Cichowskich, i który. Niby należało Halince wyjść pierwszéj, ależ szkoda i Julci... ona taka smutna!... Może lepiéj żeby do Julci... Halinka prędzéj da sobie radę... zresztą brunetka, dłużéj się zachowa... Potém, w czasie tych rozmysłów, w mózgu dziedziczki Małéj Woli, brzęczał ciągle wyraz: dzierżawca... posesor... Fe! pani dzierżawczyni!... pani posesorowa...! Ale rozsądek powtarzał stare przysłowie: lepszy rydz jak nic; na bezrybiu i rak ryba i t. d. Ażeby próżność pogodzić z rozsądkiem, zjawiła się w lot wyobraźnia i szeptać zaczęła: dziś dzierżawca, ale może być dziedzicem... może się dorobić, wygrać na loteryi berlińskiéj... może ma jakich kuzynów bogatych... wreszcie brat może umrzeć bezdzietnie... kto wie!...

I oto, czyż Marmurki nasze wracające do domu, mogły przypuścić, że ta grzeczna i uprzejma pani śmierć jednego z nich przypuszcza jako wypadek wcale nie nieprzyjemny?...

Koniec końcem, pani Sydońska usnęła spokojniejsza nieco, choć zawsze wzdychająca na czasy w konkurentów niepłodne, a usnęła ze szczerém postanowieniem, że jeden z Cichowskich zostanie mężem jednéj z jéj córek.

Co zaś mówiły ze sobą panienki, na to spuszczam zasłonę, bo czytelniczki odgadną to z łatwością, a czytelnikom nic do tego.

IV.

Z tego wszystkiego co się powiedziało wyżéj, ten wniosek matematyczny wypada, że konkury Cichowskich powinny były być bardzo łatwe i iść jak po maśle.

Rodzicom było pilno córki za mąż wydać, córkom pilno mieć mężów, Marmurkom równie pilno wleźć pod maleńki pantofelek. Zdawało się więc, że cała historya skończyć się była powinna, à la ożenienie przesławnego Paska, co to poznał żonę w piątek a w niedzielę się ożenił. Teoretycznie rzeczy biorąc, między poznaniem a ołtarzem nawet słomka nie leżała na drodze par naszych, w praktyce jednak znalazła się tam ogromna barjera, któréj ani przeleść ani przeskoczyć nie było można.

A barjerą tu był ów fatalny układ między braćmi.

Mieli oni, podobnie jak ich anioły, całkiem różne charaktery i temperamenta. Starszy Jan, był poważny, spokojny, czujący głęboko, ale lękliwy, niewierzący sobie, i do zbytku ostrożny. Chciał on każdy krok w życiu stawiać na pewno, i dlatego często go nie stawiał nigdy. Młodszy Ignacy był żywy, ognisty, często lekki, i dość zarozumiały.

Gdyby się był on pokochał w Halince, niema kwestyi, że byliby sobie wszystko w godzinę powiedzieli, w tydzień pokłóciliby się z pewnością. Ale tak być właśnie nie mogło, bo wieczyste prawo kontrastów kazało poważnemu Janowi rozmiłować się w wesołéj i pustéj Halince, a żywemu Ignacemu w melancholicznéj Julci. Rokowało to dobrze o szczęściu ich pożycia, ale utrudniało obecnie położenie.

Choć Halina wedle możności dawała poznać Janowi, że jest dlań do wzięcia, Jan w swoje szczęście wierzyć nie chciał, i zawsze czekał jakichś dokładniejszych dowodów, których mu biedne dziewczę dać nie mogło. Ze swéj strony lękliwa Julcia tak jakoś, mimo wszystkich gderań matki, i mimo własnéj woli, trzymała z daleka Ignacego, że ten choć tak zarozumiały, zamyślał się często smutnie, i sam już powątpiewał o niezwyciężoności swojéj.

Byłby on jednak dawno wszystko skończył, gdyby nie ostrożność Jana. Napróżno pani Sydońska młode pary zostawiała same, napróżno Halinka kazała sobie czytać poemat Juliusza W Szwajcaryi, lub Dziady. Jan ciągle był niepewny. To mu się zdawało że tylko nim się bawią, to znów, że Julcia niekocha Ignacego. A to go przerażało okropnie. Jeżeli jedna odmówi, to i z drugą zerwać trzeba.

Prócz tego była i trudność formy. Co zrobić, gdy jedna przyjmie a druga odrzuci?... Zerwać i z tą? Ależ to nieuczciwie... jeżeli sercu gwałt się zada, to jednak honoru lekceważyć niemożna... I właśnie trudność znalezienia téj formy dubeltowych oświadczyn, jednoczesnych, pozwalających wycofać się z honorem szczęśliwemu, gdyby drugi kosza dostał, była główną przyczyną zwłok, barjerą, na téj tak na pozór gładkiéj drodze.

Bóg tylko wie jakiém utrapieniem stan taki przejmował panią Sydońską.

„A to istne skaranie boże z tymi ludźmi", mówiła zrozpaczona matka. „Niby to dobrze wychowane, i rozumne, oczy przewraca, i mizdrzy się, a nic i nic!... Co oni sobie myślą!..."

„Ba! to co i drudzy“, odpowiedział filozoficznie mąż, wąchają czy nie skarb był prawdziwy... Chcieliby, a boją się... hi... hi... a jak się dowąchają golizny, to puszczą w trąbę i kwita...“

„Ależ to zerwać trzeba!...“

„A to urwij moja duszko!...“ a w duchu dodawał: „Co mi po nich, ten młodszy fuszer wpakował mnie wczoraj samochcąc bez dwóch, i to jako przyzwany... co mi po nich!...“

Niecierpliwiły się też i panienki, choć na Julii znać niebyło tego, niecierpliwił się Ignacy, niecierpliwił się nawet i Jan poważny, ale zwlekał ciągle, trzymając jak na uwięzi, skutego słowem i umową brata.

Słowem, w chwili, gdy się powiastka nasza rozpoczyna, bohaterowie i bohaterki jéj ulegali uczuciu, które tyle na świecie robi złego, które np. zgubiło Francyę, uczuciu niecierpliwości.

Uczucie to zaszło już u pani Sydońskiéj tak daleko, że się na seryo oglądać zaczęła dokoła, szukając jakiéj interwencyi.

Co miało się nazywać interwencyą w macierzyńskiéj polityce małżonki pana Aurelego, dowiemy się z następnego monologu, który jeden z przyjaznych i spoufalonych z powieściopisarzami zefirów, przelatując przez Małą Wolę, podsłuchiwał, a że nie był przez nikogo proszonym o tajemnicę, więc nam powtórzył co do słowa.

„Niechnoby się tylko tutaj jakiś ktoś wyglądający na konkurenta zakręcił, to jużbym ja potrafiła dać sobie radę... Takbym rzeczy ponastrajała, żeby się i jednemu i drugiemu wydało, że ma niebezpiecznego rywala, i obaj przestaliby zwłóczyć.“

Dzieje nas uczą, że polityka polegająca na oczekiwaniu interwencyi z zagranicy, prawie nigdy narodów, które się jéj chwytały nie doprowadzała do pożądanych rezultatów; nie wszystko jednak co jest mądrem w sztuce kierowania losami świata, da się dosłownie zastósować do rodzinnego życia, nie należy więc robić z tego zarzutu pani Sydońskiéj, lecz czekać cierpliwie skutków jéj postępowania.

Dosyć długo poszukiwania dziedziczki Małéj Woli były daremne, a próby zamierzonéj taktyki, robione na małą skalę, okazywały się płonnemi.

Pani Sydońska naprzykład dawała do zrozumienia któremu z braci, że ten lub ów ze znanych im, przynajmniéj z wieści, kawalerów, prawdopodobnie nie bez zamiarów dalszych jest bardzo grzecznym dla jednéj z jéj córek. Wiadomość ta na Janie lub Ignacym robiła bolesne wrażenie, postanawiał sobie w duchu, że konkurencyą przyspieszy, ale nim zrobił coś stanowczego, musiał naradzić się z bratem, i z narady wypadało, że domniemany rywal nie jest bardzo niebezpiecznym.

Wszystko więc szło daléj tym samym torem.

Nareszcie stroskanéj matce los zesłał pomoc najniespodziewańszą.

V.

Przystępując do niniejszego rozdziału naszéj nowelli, odbyliśmy przedewszystkiem bardzo poważne studya. Przewertowaliśmy najmniéj piędziesiąt tomów dzieł najsłynniejszych ekonomistów, począwszy od Adama Smitha aż do współczesnych, zgłębialiśmy najstaranniéj naukę o podziale bogactw, i przekonaliśmy się, że żaden z tych naszych mężów, do dzieł których udawaliśmy się po poradę, nie wyjaśnia jakim sposobem, w owym podziale dóbr materyalnych trafiać się mogą takie anomalia, o jakiéj właśnie mówić zamierzamy.

W normalnym stanie stósunków ludzkich, tak jest i tak być zapewno powinno, że młody człowiek przechodzący w drugą połowę trzeciego krzyżyka, ogląda się za towarzyszką życia, aby uczynić zadość przykazaniu, które Pan Bóg dał ludziom jeszcze w raju, które zatem jest bezporównania starszem, więc i ważniejszem, od dziesięciu innych danych na górze Synai. Młodzieniec taki w normalnym stanie stósunków ludzkich powinien być już trochę podszarzanym na zdrowiu i podrujnowanym na majątku, aby małżeństwo miało sposobność okazać, że ono jest błogosławieństwém i zbawiennie wpłynie na naprawę tego, co wesoła młodość popsuła. Ekonomicznie zatem rzeczy biorąc, jeżeli bogactwo narodowe rozporządza np. summę 100,000 tal., to ta summa stanowić powinna wiano młodego i pięknego dziewczęcia, nie zaś znajdować się w prawném posiadaniu i używalności młodzieńca, który się za towarzyszką życia ogląda Jeżeli zachodzi wypadek przeciwny, wypadek ten mięsza wszelkie ekonomiczne pojęcia o małżeństwie i jest anomalią, która nauka wyjaśnić powinna.

Taką anomalią był Stanisław Kliński, mieszkający o mil kilkanaście od Małéj Woli, ale o którym, właśnie z powodu téj anormalności jego majątkowéj, biegały wieści daleko i szeroko po Księstwie i chyżym lotem aż do ustronia Sydońskich dobiegły.

Był to kawaler posażny, a samo zestawienie tych dwóch wyrazów, nie mających zwyczaju stawać obok siebie w mowie potocznéj ani w powieściowym stylu, dowodzi, że nie był tém czém był powinien być według zwykłéj normy stosunków ludzkich.

Bywają prawda kawalerowie bogaci, i to się wcale nauce ekonomistów nie sprzeciwia, ale tacy szukają zawsze panien bogatszych od siebie, tak samo jak ubodzy lub zrujnowani żądają od małżeństwa aby ich postawiło na wyższym szczeblu fortuny. W takim razie ekonomia polityczna dziwić się nie ma czemu i nic objaśniać nie potrzebuje.

Kawaler posażny, taki unikat, a przynajmniéj taka rara avis, jaką był Kliński, dla tego tylko jest rzadkością i dziwem, że całe postępowanie jego dowodzi, iż posiadanego majątku nie myśli użyć na węzeł do połączenia się z majątkiem dwa lub trzy razy większym... Otóż o panu Stanisławie wiedziano powszechnie, że się nigdy w życiu o żadną milionerkę nie starał, że owszem kochał się parę razy ze szczeremi matrymonialnemi intencyami w pannach o wiele od siebie uboższych i byłby już oddawna uczynił zadość najdawniejszemu z przykazań, gdyby się te małżeństwa nie były rozchwiały.

Wina rozchwiania się tych związków, spadała naturalnie najwięcéj na okoliczności, byli jednak surowi sędziowie, którzy ją w znacznéj części zwalali na Stanisława i to dawało powód do posądzania go o niestałość.

Był to jedyny zarzut, jaki łaskawa z resztą opinia robiła bohaterowi naszemu.

„Doskonały chłopiec“, mówiły o nim matki, a potakiwali ojcowie, „ma dwie śliczne wioski bez długów, ukształcony, nie marnotrawca ale i nie sknera... prawdziwy pieszczoch losu, ale że motyl, to motyl!“...

Motyl ten, posiadający całą listę warunków szczęścia: miłą powierzchowność, zdrowie, majątek, wolność rozrządzania sobą, a wreszcie czyste sumienie, wątpimy bowiem, żeby go kto posądzał o jaki kainowy postępek, nie był jednakże zupełnie szczęśliwym, chociażby w to nikt nie uwierzył.

Nie był szczęśliwym, bo czuł jakiś brak niepojęty, wyrozumował zaś sobie, że tego braku nigdy może nie zdoła zapełnić.

Brakiem tym, był brak niepowodzenia. Jak inni ubiebiegają się za powodzeniem, tak on, któremu się wszystko wiodło, pragnął porażki i doznać jéj nie mógł.

Szczególny gust!... nieprawdaż?...

Nie pragnął naturalnie, żeby go los nawiedził wszystkiemi nieszczęściami Joba, nie tęsknił za stratami majątkowemi, za chorobą, za klęskami wylewu, pożaru, pomoru bydła lub gradobicia. Byłby to apetyt, dowodzący umysłowéj aberracyi, od téj zaś nasz bohater był wolny.

Jeżeli pragnął niepowodzenia, pragnął go tylko na arenie miłości.

Czy to był jakiś pierwiastek poetyczny, czy też filozofia głęboka, — a w jego położeniu mogło to być łatwo jednem lub drugiem, — powodzenie w miłosnych kampaniach zniechęcało go bardzo prędko. Być może, że jego fantazya pragnęła przeszkód na drodze do szczęścia, może mu się zdawało, że to co się nabywa zbyt łatwo, za mało potém się ceni, albo te, które się zbyt łatwo oddają, posądzał o niestałość i płytkość uczuć; może wreszcie czując, że byłby doskonałą partyą, obawiał się, aby go nie wybrano dla tego, że jego pozycya majątkowa, wiek, powierzchowność i stanowisko, dają mu prawo dobrą partyą się nazywać.

Cokolwiek bądź z tego było, a najpewniéj, że było wszystkiego potrosze, dość, że gdzie zakołatał, wszędzie spotykał otwarte ramiona.

Ojcowie całowali go w oba policzki, a w duchu mówili sobie:

„Ależ to człowiek ulepiony na zięcia!“

A mamy czasem zaraz po pierwszéj wizycie, mówiły do cór swoich po cichu:

„Jakby to było dobrze, moja Karolinko, gdyby się tobie trafił taki mąż jak pan Kliński.“

Córeczka niekiedy rumieniła się i wzdychała, niekiedy odpowiedziała szczerze:

„Ja już myślałam, mamo, jakby to było dobrze“...

Stanisław ukazywał się po raz drugi i daléjże wszyscy na wyścigi okazywać mu: „jakby to było dobrze.“ Ojciec wydobywał tabakierę i zażywał tabaki w sposób szczególny, a z uśmiechem patrzył na niego, — on i w tabakierze i w uśmiechu czytał owe wstrętne wyrazy „jakby to było dobrze.“ Matka nie wahała się zostawić go sam na sam z córką, wyraźnie dla okazania: „jakby to było dobrze.“ Panna pozostawszy sama spuszczała oczki, na piękną jéj twarzyczkę występował rumieniec. Każdy inny zachwycałby się tém spadaniem długich rzęs na źrenice, rozkoszowałby się tym wytryskiem barwy różanéj na urocze lica Karolinki, Stanisław w tem opadnięciu rzęs i w tym wytrysku serdecznego karminu czytał tylko wyrazy: „jakby to było dobrze.“

Niekiedy zjawiał się nawet w jego własnym domu, w Klinówce, jakiś sąsiad albo sąsiadka, jakiś wujaszek albo ciotka, albo jakaś babka jak w komedyi Bałuckiego, i ci nie obwijając w bawełnę, kładli mu w uszy:

„Jakby to było dobrze, panie Stanisławie, gdybyś się ożenił z Karolinką, byłaby z was para tak doskonale dobrana, że aż miło.“

Każda taka zachęta była niby szklanką wody z lodem wylaną wprost do serca Klińskiemu.

Stygł daleko prędzéj niż się zapalił, a wróciwszy do domu w złośliwych monologach przypinał łatki płci pięknéj lecz słabéj.

„I ta taka jak inne“, mówił do siebie, „niema widać na świecie ani jednéj dziewczyny, którąby można nazwać dobrze ufortyfikowaną. Są, prawda, takie, których przed występną miłością broni cnota, i takich jest podobno więcéj niż się niejednemu Don-Juanikowi wydaje, ale ostrzejszych form nie ma. To pewna, że ani jedna nie zdołałaby wytrzymać regularnego oblężenia dobréj partyi!... Niewiem jakie pobudki niemi rządzą, ale to niezawodne, że mam prawo posądzać je o lekceważenie lub niepojmowanie miłości, a nawet o uważanie małżeństwa za zwyczajny kontrakt, w którym o dogodność warunków pieniężnych idzie stronom przedewszystkiem, albo wreszcie za licytacyę, gdzie się towar przysądza więcéj dającemu.“

Skutkiem takich uwag było nietylko prędkie wycofywanie się Stanisława z szeregu ludzi posądzanych o pragnienie ręki poczciwéj Karolinki i jéj różnoimiennych rówieśniczek, ale nawet zrywanie już prawie ułożonych związków.

(C. d. n.)

CIEMNA BRAMKA NA NOWYM RYNKU W POZNANIU.

(Z ryciną.)

Jeżeli budowle i wspaniałe zagraniczne gmachy zajmować zwykły nasz umysł, zachwycać oko i budzić naszą ciekawość, to każdy przyznać musi, iż otaczające nas pomniki swojskie — dawnych wieków świadki, do tém szczególniejszéj naszéj uwagi i pieczołowitości nie zaprzeczone rościć mogą prawo.

Niema wszakże roku, żebyśmy nie byli świadkami, jak nowoczesna cywilizacya z utylitaryzmem w parze, pochłania jedną po drugiéj z pamiątek przeszłości, zacierając coraz bardziéj dawną starożytność Poznania; a dawne niegdyś, pełne wspomnień gmachy, ustępują miejsca bramom, arsenałom, śpichrzom i t. p.

Niema zapewne dziś już nikogo w starożytnéj wielkopolskiéj stolicy coby pamiętał, iż na miejscu, zajętem przed laty kilku przez niekształtne kramarskie budy, dziś „Nowym rynkiem“ zwanem, wznosiła się jedna z najwspanialszych świątyń Poznania, zajmująca ogromem swoim całą niemal przestrzeń tego placu. Kościół ten Ś. M. Magdaleny runął spalony po większéj części od pioruna, zostały tylko otaczające go gmachy, niegdyś mieszkania księży, noszące cechę rozmaitych wieków i rozmaitszego jeszcze stylu budowy.

W przekonaniu, iż wyświadczymy dla archeologii niejaką przysługę, załączamy rycinę, przedstawiającą jeden z tych domów, czyli tak zwaną „Ciemną bramkę.“ Dom ten mający spodem bramę dla przechodniów a górą mieszkania dla Księży, w roku zeszłym sprzedanym został celem rozebrania go i otworzenia ulicy. Napis umieszczony na tablicy, w murowanéj nad bramą rzeczonego domu, którą to tablicę znajdzie czytelnik w dziele Pana Łukaszewicza p. t. „Obraz historyczno-statystyczny miasta Poznania itd.“ — dowodzi, iż mieszkanie to wybudowali w r. 1503 osiedli tu kupcy niemieccy dla swego kaznodziei. Wszakże co do odczytania daty (1503) zachodzi pewna wątpliwość, a uczeni, z powodu nieco zatartego napisu, uważają tablicę tę za dawniejszą. Zapewniano nas, że Magistrat tutejszy, dbały o pomniki przeszłości, przy licytacyi rzeczonego domu, zastrzegł sobie własność w mowie będącéj tablicy, która gdzieindziéj w odpowiednim miejscu ma być umieszczona i zachowana. *Y. X.*

Przegląd Teatralny.

Początek roku nowego jest datą wielkiego znaczenia w historyi teatru polskiego w Poznaniu. Słowo stalo się ciałem. Mglisty projekt budowy gmachu, po patriotycznym darze Pana Potockiego, zbliża się do szczęśliwego rozwiązania. Podarek gwiazdkowy, wartości 20 tysięcy tal., daje dziś teatrowi polskiemu pewność przyszłego istnienia, i imię dawcy we wdzięcznéj pamięci Wielkopolan na lata długie zapisuje. Pragnęlibyśmy czyn ten szlachetny podnieść do znaczenia na jakie zasługuje, bo w wieku egoizmu i bankierskich spekulacyi, fakt ten wychodzi ze zwykłéj sfery dobrych czynów. Ogół nasz pojął to dobrze i, jako wyraz swego uznania, imię dawcy z przyszłą instytucyą połączył. Na ostatniem Walnem Zebraniu postanowiono nadać Spółce firmę: „Teatr polski w ogrodzie Potockiego w Poznaniu,“ a prócz tego wybrano Komisyę składającą się z PP. Adolfa hr. Bnińskiego, Śmitkowskiego, Mottego, Krzyżanowskiego, Jerzykiewicza, która w imieniu Walnego Zebrania wyraziła p. Potockiemu wdzięczność, za wspanialy dar na rzecz Spółki. Plac przy ulicy Królewskiéj ofiarowany Spółce, nie tylko że odpowiada wszystkim wymaganiom przyszłego teatru, ale nawet pomieścić może budowle bądź do użytku publicznego, bądź prywatnego służące. Słyszeliśmy już nawet prorokujące wieści, że front cały obrócony będzie na kamienice z mieszkaniami prywatnemi, a dochody z tego przeznaczone być mają na stałą subwencyę dla sceny. Prócz tego mówią o pomieszczeniu tamże Zbiorów Towarzystwa Przyjaciół Nauk, o otworzeniu ogrodu publicznego i o tym podobnych projektach. Są to wszystko wieści przedwczesne. — Komisya, któréj powierzono tę sprawę, potrafi najlepiéj ocenić i wyciągnąć wszystkie korzyści jakie ta ofiara dobru publicznemu dać może. Ufajmy więc jéj i oczekujmy cierpliwie.

Z numerem obecnym rozpoczynamy sprawozdania z teatru, które następnie stale raz w miesiąc powtarzać się będą. Przegląd więc pierwszy ograniczyć musimy ogólnym rzutem oka na kierunek i siły dramatyczne sceny polskiéj u nas. Do poruszenia tego przedmiotu poczuwamy się tembardziéj, iż dotąd sprawozdawcy naszych organów publicznych, zbywali go ogólnikami przypominającemi styl Kurjerów, lub w sądzie swoim powodowali się osobistemi względami dla występujących na scenę artystów. Bezwzględna, publiczna adoracya, w pierwszych chwilach życia sceny polskiéj u nas, była w części usprawiedliwioną. I publicystyka uledz musiała chwilowo oślepiającemu oczy zapałowi, jakim ta nowa i narodowa instytucya cały nasz ogół przyjęła. Ale dziś teatr stał się już normalną potrzebą życia duchowego, tak że wszelkie arystarchiczne adoracye wydają się nam zbytecznemi i niewłaściwemi. Nieprzypisujemy sobie nieomylności zdania, sąd nasz jest indywidualny, lecz w zamian nie powodujący się osobistemi względami.

Oto mamy przed sobą Rocznik Teatralny, z którego dowiadujemy się, iż ogółem, od dnia 13. Stycznia po 1. Listopada 1870 r. w stu czterdziestu widowiskach, Dyrekcya wystawiła 158 utworów dramatycznych. Z tych grano dramatów oryginalnych 11, tłomaczonych 17, komedyi oryginalnych 44, tłomaczonych 40. Powtórzono sztuk 32. Z tego zestawienia widzimy, że stosunek oryginalnych do tłomaczonych utworów, nie jest dla tych pierwszych jako narodowych, pochlebny. Wina nie ciąży na Dyrekcyi. Ubóstwo tego działu literatury u nas, w końcu smak publiczności w tak zwanych postronkowych sztukach z bruku paryskiego, zupełnie ją usprawiedliwia. Teatr do pewnego stopnia musi ulegać prądowi i nawet kaprysom opinii publicznéj, a jeżeli kiedy, to dziś ta opinia publiczna w dziełach sztuki nie tylko u nas, ale na całym bożym świecie jest „Par laevibus ventis voluerique simillima somno“, (Równa lekim wiatrom i najpodobniejsza do lotnego snu).

Powiedzieliśmy nawet, że Dyrekcya ofiarą własną dawała pierwszeństwo utworom narodowym przed tłomaczeniami. Gdy jednak na przedstawieniach najlepszego z naszych komedyo-pisarzy, jak hr. Fredro, ławki były puste, niedziwimy się, że czasem uciekać musiała do „Oszustki paryskiéj“ do „Wywołańca?!“ i sztuk tym podobnych. — I w tym kierunku jeszcze oddać musimy sprawiedliwość, że wybór sztuk zapożyczanych był po większéj części szczęśliwy. Niejednokrotnie imiona: Scribego, Sardou, Szillera, Augiera, na afiszach zapisane były. Jak nowy dowód kierunku ku dziełom narodowym, zapisujemy wiadomość udzieloną nam przez Dyrekcyą*), że w krótce ujrzymy na scenie naszéj wkrzeszone na scenach w Królestwie i Galicyi komedye Krasickiego. Przed dwoma miesiącami, pierwszy który na krok ten się odważył, był p. Skorupka, przedstawiając Statystę, pióra Stanisławoskiego pisarza, i gdy powodzenie przeszło nadzieje, przedstawiono następnie jedną z komedyi Zabłockiego, którą porówno z pierwszą oklaskami okryto. Jest to nowe i bogate źródło dla sceny polskiéj, tém więcéj pocieszające, że w publiczności przyklask znalazło. Są one pełne werwy i dowcipu tak, że usterki sceniczne nikną w obec tych zalet. — Typy wprowadzone, jakkolwiek z czasów nieco oddalonych, mają wielką analogiję z typami dzisiejszego społeczeństwa. Wszystkie te zalety rokują tym dramaturgom nowe życie na scenach naszych. — Daj Boże! wolimy zawsze widzieć przedmiot mający bezpośredni związek z naszym społeczeństwem, słyszeć wyśmiane umiejętnie błędy i podniesione cnoty własne, niż obcych; gdy jednak zbraknie narodowych utworów, któreby artystycznym wymaganiom a ztąd i interesowi publiczności odpowiadały, chętnie Szyllerowi, Sardou, Angierom i innym przyklaśniemy.

Tyle co do kierunku ogólnego sceny naszéj —

Z dotychczasowych sprawozdań dziennikarstwa naszego, przypuszczać można było, że scena polska w Poznaniu składa się z samych Dawison'ów, Devrien'ów, Ristorich i t. d. „Pani X świetnie oddała swoją rolę,“ pan Y z wyższem poczuciem artystycznem wywiązał się z zadania“ były to stereotypowe, jak nieśmiertelny anons „Błogo skutkującéj Revalescière du Barry“ określenia gry artystów naszych. Ktoby

*) Ponieważ według zapewnienia Dyrekcyi wkrótce na scenie naszéj ma się ukazać jedna z komedyi Krasickiego, dla odświeżenia więc w pamięci czytelników prac dramatycznych tego autora, podamy w jednym z przyszłych numerów ich rozbiór. (Przyp. Redak.)

jednak polegał na tego rodzaju adoracyi, wielkiego doznałby zawodu. Rozbierzmy pojedyńczo skład trupy p. Nowakowskiego.

Zaczynamy od personału damskiego, w którem pani Nowakowska bez zaprzeczenia pierwsze miejsce zajmuje. Z całego składu w niéj tylko prawdziwy talent dostrzegamy. Pani N. posiada zasób zdolności nie pospolitych, chociaż wolną nie jest od usterek. — Przedewszystkiem widać w niéj zamiłowanie powołania, a ztąd staranność w oddaniu każdéj roli, chociażby ta nawet nie była odpowiednią kierunkowi jéj talentu. Ileśmy razy mieli sposobność na grę pani N. patrzeć, przebijała się w każdéj roli jéj świadomość i pewność siebie, a wskutek tego panowanie nad trudnościami zmiany uczuć i odpowiedniéj im akcyi. — Pani Nowakowska umie porwać widza, umie nadać grze swojéj pewien ton wyższéj i artycznéj elegancyi, któraby się nawet i sceny stołecznéj nie powstydziła. Przypominamy ją sobie w Poczwarce, w Kamelii Dumasa, Ojczyznie Sardou i w kilku innych jeszcze rolach, w których, w niezwykłem znaczeniu tego słowa, imię artystki pozyskać sobie umiała. Ale... ale, bo cóż bez ale, i pani N. nie wolną jest od usterek grę jéj poniżających. Oto w przesadzonéj nieco deklamacyi, w akcyi, w układzie twarzy, w nienaturalnie wznoszonych oczach, przebija się pewnego rodzaju affektacya, jakaś kokieterya w roli, co wszystko razem na niekorzyść gry zkądinnąd prawdziwie artystycznéj, źle wpływa. W każdym razie artystka ta jest bezzaprzeczenia filarem sceny naszéj w Poznaniu.

Pannę J. Górecką nazwalibyśmy fotografią artystki, o któréj poprzednio mówiliśmy. Naśladownictwo to, często udatne, w grze jéj przebija się. Za złe brać tego nie można, nie każdy indywidualnym być potrafi, a gdy tylko dobry wzór sobie obiera, to już przez to samo godzien jest pochwały. Niepowiemy, że panna J. Górecka posiada talent — nie — ale ma zdolności, które ją zawsze na scenie utrzymają. Głównym przeciw p. J. G. zarzutem jest nieumiejętność nadania swemu organowi więcéj powabu. Często tony są ostre, pół altowe, pół sopranowe, przeraźliwe i bardzo niemile drażniące uszy słuchaczów. Prócz tego przebija się w grze jéj chłód pewien, lecz z drugiéj strony ma zalety naturalnéj deklamacyi i ruchów nie powiemy eleganckich, ale dosyć swobodnych.

Siostra powyższéj panna M. Górecka nie posiada wprawdzie przymiotów talentu, ale w zamian obdarzona jest powabną powierzchownością, która szczególnie do ról naiwnych dziewczynek wybornie się stósuje.

Z kolei przychodzimy do pani Doroszyńskiéj. Widzieliśmy ją w rolach najsprzeczniejszych. Głównie zaś, zdaje się nam kierunek jéj przechylać do ról suberetek. W grze pani D. jest dużo ognia, śmiałości, a prócz tego w śpiewie głos dosyć sympatyczny, co wszystko razem przyjaźń widzów dla niéj pozyskuje.

O pannach Czajkowskiéj i Włościborskiéj, mówić dziś byłoby zbytecznem, są to właściwie figurantki tylko, których gra ani za, ani przeciw nim, nic jeszcze mówi.

Co do pp. Wesołowskiéj, Krasowskiéj i Więckowskiéj milczeć wolimy — bo cóż można powiedzieć? — Gra ich rzemieślnicza, tylko samą negacyę na myśl nasuwa — a w takich razach przedmiot z pod rozbioru krytyki sam przez się usuwa.

Personał męski zdaje się nam w ogóle lepiéj być obsadzonym. Pan Dyrektor Nowakowski we wszystkich rolach, daje dowód wielkiéj rutyny. Scena dla niego jest pokojem, w którym swobodnie jak w domu obraca się. W nowo powstałych we Francyi i po Europie rozpowszechnionych operetkach Offenbachoskich, i we wszystkich rolach noszących tenże charakter, p. N. jest wybornym. Życia wiele, swoboda, humor, wszystko to powabną robi grę jego. Rzecz się ma inaczéj w rolach treści poważnéj i tragicznéj. Deklamacya niewłaściwa budowie języka polskiego i affektacya przypominająca scenę niemiecką, charakteryzuje grę pana N. w rolach podobnych.

Głównym filarem personału męskiego jest pan Kaliciński. Pierwsze role bohaterów jemu są zwykle udzielane. Pan Kaliciński większą część życia spędził na deskach teatralnych, ma więc wiele wprawy i znajomości sceny, prócz tego z natury obdarzony jest pięknym bardzo organem głosu. Lecz wszystkie te dodatnie strony nie pokryją tych wad, jakie w grze pana Kalicińskiego widzimy. Przedewszystkiem brak w niéj duszy, wyrazy pięknie z ust wychodzą, ale są zwykle drewniane, bez dźwięku, któryby daléj jak w uchu się odbił. — Mówić wyraźnie i donośnie jest wielkim przymiotem, zasługą nigdy, chyba taką, jak posiadającego piękne oczy i niemi patrzącego na świat boży. W grze p. K. grę tylko widzimy, nigdy on nie zmusi widza do zapomnienia, że deski teatralne ma przed sobą, że bohater Ojczyzny nie jest panem Kalicińskim. Przytem ma zwyczaj stereotypowy podnoszenia rąk, otwierania ust, wykrzywiania twarzy i nie estetycznego zginania całego ciała. Pomimo tych wad, p. Kaliciński ma tyle za sobą, że w każdym teatrze wybitne miejsce mieć może, a nawet jesteśmy pewni, że gdyby nie nawał pracy, zmuszający do zaniedbywania się, wiele z wytkniętych punktów dałoby się skreślić.

Z młodszéj generacyi za najzdatniejszego i wiele obiecującego artystę, uważamy pana Dobrzańskiego. — W rolach komicznych stwarza on sobie właściwy komizm, pobudzający do serdecznego śmiechu. Nie jest to komika wyższa, salonowa, niemniéj jednak na uznanie zasługuje. Szkoda tylko, że p. Dobrzański zmuszony jest często do grania ról nieodpowiednich swemu kierunkowi.

Do wielce zasłużonych artystów zaliczyć musimy p. Konarskiego. Mniéj w nim jest zdatności jak wytrwałéj i sumiennéj pracy. Nigdy nie zdarzyło się nam widzieć, by on rolę sobie powierzoną zepsuł, a często oddał ją z prawdziwem przejęciem się i umiejętnością. Sumienność i praca ta, jest godna pochwały publicznéj. Jesteśmy pewni, że pan Konarski przy wyżéj wymienionych przymiotach (których, nawiasem mówiąc, brak jest jego kolegom), zawsze wybitne miejsce na scenie zajmować będzie.

Pan Doroszyński ma wdzięczne role, które entuzyazmu wprawdzie w widzach nie wzbudzą, ale sympatyczne wrażenie po sobie zawsze zostawiają. Publiczność go lubi, to dosyć.

Pan Zboiński nie zdaje się nam być tem, czém sprawozdania o teatrze widzieć go chciały; ma jednak role bardzo sobie odpowiednie, w których sympatyczne oklaski od publiczności odbiera.

O panu Cezarze mowa byłaby przedwczesną, dziś zauważaliśmy tylko piękny organ głosu i ufność wielką w suflera.

Oto i skończyliśmy już naszą rewię teatralną; pozostaje nam jeszcze kilka ogólnych uwag do zrobienia. Dobrze byłoby, kiedy scena wymaga pewnéj ostentacyi, żeby Dyrekcya choćby wyjątkowo powiększała liczbę statystów. Scena zapowiada, że naród się zebrał. Wódz pyta: „Ilu was jest?“ „Jeden!“ odpowiadają oczy widza. „No, to nie rozchodźcie się“ woła wódz tłumu. Sceny najpoważniejsze śmiesznemi się w takich razach zdają. — Przyprowadza to nam na myśl komedyę francuzką, w któréj trzech starych wiarusów w chwili niebezpieczeństwa komenderują „formuj czworobok“ Naturalnie z trzech utworzył się trójkąt. W końcu pozwolimy sobie zwrócić uwagę na język. Każdy z aktorów mówi sobie właściwym prowincyonalizmem, a nawet niektórzy grzeszą przeciw najprostszym zasadom gramatyki. — Obowiązkiem teatru pierwszym przed innemi jest czystości mowy przestrzegać. Komedya francuzka w Paryżu jest dla publiczności wyrocznią w kwestyach językowych. — Dobrze byłoby, żeby i u nas większą na to uwagę zwracano.

Być może niejeden z wymienionych w naszym przeglądzie czuć się będzie obrażonym. — Niepowodowaliśmy się tu żadnemi względami, wypowiedzieliśmy nasze zdanie osobiste, które publiczność oceni, a bezpośrednio interesowany, lecz wyrozumiały czytelnik, mamy nadzieję, usprawiedliwi.

X. Y.

Szarada.

Pierwsze tylko litera, a zaimek czwarte,
Drugie rzeka, w szkatułach trzecie jest zawarte,
Wszystko — przydomek męża, co przez życie całe
Chciał to wskrzesić, co martwe było i spruchniałe.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 2: *Armata.*)

Korespondencye Redakcyi.

Panu S. W. w Pleszewskim powiecie: Dziękujemy za zasilenie wiadomościami naszéj kroniki. Prosimy i nadal o niéj pamiętać. Panu Chr. pod Tarnowem: Przypominamy mu bajeczkę o Młynarzu i .... Panu T. R. we Lwowie: Chętnie zadosyć uczynilibyśmy żądaniu Pańskiemu, gdyby praca odpowiadała programowi pisma naszego. Panu Świętopełkowi w Monachium: Wkrótce odpowiedź naszą listownie wyszlemy. Dziś upraszamy o kontynowanie zaczętéj pracy.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Spółki. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel.)